

JÓZEF WŁODARSKI

HUANG LIHAI

NIEŚMIERTELNY CZANG MUHANG,
CZYLI RZECZ O WOJNIE SPRAWIEDLIWYCH BOKSERÓW
PRZECIWI ZAMORSKIM NAJEŹDŹCOM
I ZDRADZIE CESARZOWEJ CI XI

*Panu Edwardowi Kajdańskiemu,
w którego sercu żyją dwie Ojczyzny – Polska i Chiny*

Jesień... Szumiał swą tajemną pieśń bambusowy gaj. Deszcz wkradł się w gałęzie jak złodziej. Cicho rzucił słowa monotonnej modlitwy w wezbrany strumień rzeki czasu. Szarość i spokój... Jedynie w dali groźny pomruk wód Huanghe niósł ku morzu gniew ludu.

* * *

W chłopskiej chacie, niedaleko miasta Janin, w prowincji Shandong umierał Czang Muhang zwany Nieśmiertelnym.

* * *

Wczoraj w bagnistych rozlewiskach Huanghe umilkły ostatnie wojenne okrzyki bohaterów powstania Związku Sprawiedliwej Pięści. Koniec walki stowarzyszenia Yi He Tuan. Pod naciskiem obcych, którzy grabili kraj, wykorzystując nieudolne rządy dynastii Qing, Yuan Shikai Qing został mianowany generalnym gubernatorem Shandongu.

Zapadał na zdrowiu cesarz Guang Xu...

* * *

Yuan Shikai z bezprzykładnym okrucieństwem, głównie na polecenie władz niemieckich, stosując tortury i rozstrzelując walczących powstańców, stłumił bunt ludu.

Pustka. Cisza. Nicość...

* * *

Późnym popołudniem zostali otoczeni przez zaprawione w tłumieniu hinduskich powstań doborowe oddziały brytyjskie.

* * *

Przepecone mundury koloru khaki straciły już dawno swój naturalny odcień. Były szare jak twarze hinduskich żołnierzy i pokrywały je plamy błota. Oficerowie już dawno zapomnieli o czekających na nich wytwornych *ladies* w dalekim Bombaju czy Kalkucie. Byli wściekli na tę całą wojnę. Codziennie niemal każde zdarzenie określali zwięźle *dammed war*. Pododdziały będące chlubą wojsk kolonialnych w Indiach topniały w oczach jak wiosenny śnieg, od kiedy skierowano żołnierzy przeciw „żółtym bokserom”.

* * *

Jesień w dorzeczu Huanghe, a gdzieś tam leniwie płynie Tamiza, milkną syreny i bucuki statków, wieczorna mgła przesłania Londyn. Kominek, fajka, głęboki fotel i popołudniówka. Jeszcze tylko filiżanka mocnej, aromatycznej herbaty. To ostatnie myśli majora Richardsona.

W szarym jesiennie-deszczowym płaszczu przyszyła śmierć. Jej moc skupiła się w jednym uderzeniu otwartą dłonią w serce. Richardson zabrał ze sobą w pamięci na całą wieczność obraz skaczącego z drzewa włóczęgi i jego niemą prośbę: „Wybacz”.

Los połączył drogi, którymi zdążali ku sobie major hinduskich wojsk kolonialnych potężnego imperium John Richardson i zrujnowany chłop z Shandongu – Nieśmiertelny.

Za chwilę wstrzymała bieg Tamiza – westchnęła stara Anglia. Błota w dorzeczu Huanghe ukryły Czang Muhanga.

* * *

Gęste zarośla nie ułatwiały użycia odtylcowych karabinów z Birmingham – jedyną bronią dorodnych synów Albionu pozostały bagnet i granat. Już kilka godzin przeczesywali bagniste rozlewiska „żółtej rzeki”, gdy zorientowali się, że przed sobą mają tylko kilkunastu ludzi, w tym wielu rannych.

Nadzieja wstąpiła w serca. Jeszcze najwyżej 2–3 mile i będzie po wszystkim. Pozostanie jak zawsze kilkadziesiąt, a może więcej poskręcanych dziwnych trupów, do których nawet idzie się przyzwyczaić. Oficerowie zachęcali okrzykami strudzonych i strzegli porządku w kompaniach.

Robin Carter i Malcolm Davis byli znajomymi z przymusu. Dźwigali pospołu owinięty w brezent przyrząd, zdolny wysłać w ciągu minuty tyle samo pocisków, co niejedna kompania dobrych fizylierów. Tydzień temu przekonała się o tym koloro-

wa jazda Hanów, trzykrotnie w krzyżowym ogniu dwóch karabinów maszynowych załamały się jej ataki. Ci, którzy ocalili, uwolnili konie i z dobytymi szablami rzucili się w morze hinduskiej piechoty. Żaden nie dopłynął do brzegu.

Robin Carter i Malcolm Davis poczuli się dziś niepotrzebni. W tych warunkach szkoda tej wspaniałej angielskiej techniki dla garstki włóczęgów. Chłopcy wyduszą ich tam w tych błotach gołymi rękami. Grunt to nie przesadzać, nawet w służbie Jej Cesarskiej Mości!

Z wysokiego drzewa spoglądał na nich człowiek. Czytał ich myśli i wymieniał na własne:

– Jestem Czang Muhang. Witam was w Deszczowym Gaju na szlaku śmierci. Byłem chłopem, nie mam już ziemi, żony i dzieci, zabraliście mi wszystko. Przynieśliście do mojego kraju ogień, krew i lzy. Uwolnię teraz wasze dusze, by odnalazły drogę wiecznej szczęśliwości!

Nie zdążyli odpowiedzieć. Wielki człowiek ptak oderwał się od konara i spadł nagle, uderzając nogami w kręgosłup Robina Cartera.

Żegnaj, Robinie...

Malcolm Davis zdążył wyciągnąć bagnet i przejrzeć się w jego błysku. Czang, który okazał się starszym mężczyzną o przedwcześnie posiwiałych skroniach, wybił się ponownie w powietrze i potężnym uderzeniem kantem stopy rozbił czaszkę Malcolma Davisa. Tę samą, od której swego czasu w Chelsea odskakiwały puste butelki po porterze.

Już nie dla ciebie bójki w Chelsea, Malcolmie Davisie. Tylko żal lez na twarzy starej kobiety, która zapewne nigdy nie pragnęła, byś swoje szczęście i przyszłość budował na stosach trupów, hen w dalekim kraju.

Nikt nigdy się nie dowie, że tu, w tych bambusowych gajach zamarł twój szept – ostatnie słowo:

– Matko!...

Czang Muhanga przygarnęła jesień...

* * *

Kiedy 20 czerwca cesarzowa Ci Xi wbrew radom wielu dygnitarzy podpisała edykt ogłaszający wojnę przeciw cudzoziemcom, ulicami dzielnicy Pekinu Zongli Yamen w osobie niemieckiego ambasadora von Kettlera przechadzała się pycha z okrucieństwem pod ramię:

– Chyba nie trzeba było, Herr von Kettler, opuszczać dzielnicy ambasad, szczególnie jeśli na rękach nie wyschła jeszcze krew powstańców z Shandongu. Nie uci-chły jęki i krzyki torturowanych w piwnicach ambasady spokojnych Chińczyków. Czyżby pan nie wiedział, dlaczego wielu z nich walczy i umiera?

To chyba na ulicy Żółtych Lampionów głośniejsze zabrzmiało echo strzałów do umęczonych i skazanych na śmierć.

20 czerwca 1900 r. żołnierze – członkowie związku „pięści zaciśniętej w imię pokoju i sprawiedliwości” dokonali udanego zamachu na życie ambasadora Rzeszy Niemieckiej von Kettlera.

* * *

Czang Muhang znacznie później pojął istotę przemówienia cesarza Wilhelma, wygłoszonego w Bremie 27 lipca 1900 r. do pierwszych wyruszających na „chińską wojnę” niemieckich oddziałów: „Nie dawać pardonu i nie brać jeńców! – rozkazał kajzer – Tak jak Hunowie tysiąc lat temu pod wodzą Attyli zdobyli sławę żywą w dziejach, tak i Niemcy winny działać w Chinach w ten sam sposób, aby nawet za tysiąc lat żaden Chińczyk nie ośmielił się źle spojrzeć na Niemca!”

Feldmarszałek hrabia Alfred von Waldersee został mianowany przez niemieckiego cesarza głównodowodzącym zjednoczonych sił interwentów w Pekinie i inne państwa zgodziły się na to. Rząd cesarzowej Ci Xi po kilku miesiącach odwołał swe poparcie dla „bokserów” i uczynił z nich sprawców całego nieszczęścia.

Waldersee – zamorski diabeł, niósł śmierć ostatnim oddziałom Związku Sprawiedliwej Pięści. Na 45 ekspedycji karnych przeprowadzonych z bezprzykładnym okrucieństwem aż w 35 brali udział żołnierze niemieccy.

Cóż mógł począć ubogi chłop Shandongu wobec tak druzgocącej przewagi?

Czang Muhang postanowił skorzystać z rady starego mnicha, który przygotowywał kilkunastu ocalałych jego towarzyszy do ostatniej walki. Rada była prosta. Należało wypowiedzieć kilka wyuczonych zaklęć, wykonać w odpowiedniej kolejności wojenne ćwiczenia *Noi Cun* lub *tai-chi-quan*, by uchronić się przed kulami wrogów i zapewnić sobie nieśmiertelność.

O zachodzie ustawili się wszyscy na otwartej przestrzeni – zwróceniu twarzą na południowy wschód. Przed nimi stary mnich postawił zapaloną pochodnię. Wszyscy recytowali śpiewnie wyuczoną modlitwę zaklinającą i palili w ogniu pochodni ofiarne papierki.

Rozpalali ogień w sercach... Następnie przystępowali do ćwiczeń wojennych. Mnich ustawił ich w niskiej pozycji i polecił łączyć ruchy rąk, tułowia i nóg z kontrolą oddechu:

– Oddech jest tchnieniem bogów i daje siłę życiową. Otwórzcie wasze wnętrza – jesteście częścią Wszechświata. Zachowajcie głęboką i mocną wiarę w siebie – uzyskacie dzięki niej stabilność ducha i ciała. Jesteście najlepszymi synami Naszej Umęczonej Ziemi – niech wasze myśli o niej będą zawsze jasne i czyste. Miejcie siłę wewnętrzznego przekonania o słuszności sprawy, silniejszą z każdym oddechem, każdym ruchem ciała, by zawładnął wami duch nieosiągalności...

Czang Muhang ujrzał, jak kilku jego towarzyszy dostało najpierw drgawek, a następnie z niespotykaną siłą wykonało kilka wojennych uderzeń ręką i stopą. Inni rozrywali palcami wyschnięte bambusowe żerdzie lub szybowali wysoko w powie-

trze. Po chwili poczuł, że mięśnie lekko stwardniały, a pod nogami nie ma gruntu. Wybil się wysoko w powietrze i dziwnie lekko dotknął stopami ziemi. Czuł, że coś chwytą go za krtań – chciałby płakać, śpiewać, być lekkim i zwiewnym. W oczach miał lzy – był częścią tej ziemi – dopiero teraz czuł, jak bliskie są mu szare o zmierzchu bambusowe gaje i sine dalekie wzgórza.

Ktoś go zawołał imieniem znanym mu z dzieciństwa. Tak zawsze wołała go matka, gdy chciała wetknąć mu do ręki dojrzały owoc lub słodkie księżycowe ciastko. Czang Muhang obejrzał się, lecz w dali milkły okrzyki przelatujących żurawi. Czyżby głos szedł od wielkiej Huanghe?

Wołało go przeznaczenie.

Był Nieśmiertelny...

* * *

Jesienny świt nad rozlewiskiem Huanghe był żółty i wzburzony jak gniew ludu. Zwiadowcy donieśli hrabiemu Moltkemu – pułkownikowi Jego Cesarskiej Mości Wilhelma II o dziwnym oddziale bokserów. Atakowali zawsze nocą, bez broni lub uzbrojeni tylko w kije i zabijali z diabelską siłą i perfekcją.

Pościg trwał cały dzień. Pod wieczór zwiadowcy nie powrócili. Oficerowie niemieccy byli zmuszeni do częstego posługiwania się mapą i konnymi łącznikami. Wreszcie po dłuższych poszukiwaniach odnaleziono straszliwie zmasakrowane ciała zwiadowców. Był to znak, że bokserzy znajdowali się w pobliżu. Zdwojono czujność i rozesłano patrole. Powiadomiono sąsiednie pododdziały, by przygotowały zasadzkę.

Hrabia Moltke zgodnie ze swą rolą został bohaterem ostatniego aktu dramatu, jakim była likwidacja resztek rozbitych oddziałów wojowników Yi He Tuan.

Zapadał szybko zmrok – na szczęście kocioł był już zamknięty. W okrążeniu znaleźli się ostatni powstańcy, fanatyczni, nieugięci i nieliczni. Pozostał do wykonania ostatni rozkaz: likwidacja. Ale to już chyba zrobimy jutro, Herr Oberst, kiedy się rozwidni. Na razie ściśnięci żelazną obręczą niemieckich kompanii „bokserzy” nie dają znaku życia.

Jakże wspaniale są te żołnierskie kolacje przy ogniskach. Swoisty nastrój tworzą melodie grane na ustnych harmonijkach, a po chwili młode, silne głosy podchwytywają pieśni o miłości, tęsknocie i krajobrazie Vaterlandu. Nawet można na jakiś czas zapomnieć o tej przekłętej jesiennej melancholii.

Gdyby jeszcze ta szumiąca za wzgórzami rzeka zamieniła się w rodzinny ukochany Ren. Eh! – co byś wtedy, człowieku, dał za kufelek jęczmiennego bieru?!...

* * *

Czang Muhang pozostał z kilkoma towarzyszami na szczycie wzgórza. Niewielkie skupiska drzew nie dawały schronienia przed wrogiem ani przed zimnem. Byli oto-

czni gorejącym pierścieniem wrogich ognisk. Wiatr przynosił słowa obcych komend i pieśni. Chwilami od ściany drzew odbijał się echem rubaszny żołnierski śmiech.

Na posłaniach z suchych gałęzi odpoczywali ranni. Czang patrzył na nich długo i w milczeniu. Wiedzieli już o tym, że z pułapki jest tylko jedno wyjście – by je wykorzystać, należy niezwłocznie uderzyć na wrogów.

Czang podszedł wolno do krawędzi urwiska i wyciągnął otwarte dłonie w przetrzeń. Jego towarzysze powstałi. W chłodną noc zabrzmiały słowa, które na nowo rozpalily ogień w ich sercach:

– O bogowie! – mówił Czang Huang – jestem gniewem ludu, od którego niedoli odwróciliście twarz. Bądźcie pozdrowieni! W waszych świątyniach, miastach i wsiach widzicie twarze zamorskich diablów. Bezczeszcza święte miejsca, palą i mordują! Zwracam się do was po raz ostatni – uczynicie mnie znów Nieśmiertelnym, by ranni mogli znaleźć się w bezpiecznym miejscu. Sprawcie, proszę, o wy, bóstwa opiekuńcze mojej rodzinnej ziemi, bym był nieczuły na kule i rany. Nieśmiertelny.

Niebo dotychczas zasnute ciemnymi chmurami przecięła wielka błyskawica. Huk gromu odbijał się echem po dolinach i górskich bezdrożach. W obozie hrabiego Moltkego zapanowała cisza – burza o tej porze roku była czymś niezwykle. Siła gromu przepotężna. Zadrżała nie tylko ziemia – niespokojne były także ztwardziane żołnierskie serca. Sielski nastrój przeplatany pieśniami i wspomnieniami o Vaterlandzie minął bezpowrotnie. Cisza niosła za sobą grzęę...

Wtem kolejna błyskawica przecięła czarne, klębiące się chmury, grom uderzył w pobliskie wzgórze i zapalił samotnie stojące drzewo. Niebo poprzecinane lawinowo następującymi po sobie błyskami stało się nienaturalnie białe. W obozie pruskich grenadierów było jasno jak w dzień. Wszyscy bez słowa patrzyli osłupiali na siebie, by po chwili wskazać na schodzącą srebrną ścieżką za wzgórze świetlistą postać.

Czang Muhang schodził lekko, jakby go nogi same niosły w powietrzu. Czuł znów ową boską zwiewność. Za nim szła armia. Słyszał miliony kroków wybijających twardy rytm żołnierskiego biegu. Grzmiąca nieustannie boska artyleria otwierała ten dziwny pochód.

Padły pierwsze rozkazy oficerów dowodzących czatami. W kierunku świetlistej postaci pomknęły kule. Nikt nie słyszał huku karabinowych strzałów. Natomiast przerażeni niecelnymi strzałami oficerowie i żołnierze ujręli, jak za samotnym bokserem kroczy potężna ściana deszczu. Przed linią czat Czang już biegł, a właściwie to zdawało mu się, że płynie w powietrzu przesyconym ostrym zapachem spaleni- zny. Na zdezorientowanych żołnierzy słynnego pułku Jego Cesarskiej Mości Wilhelma II ze śmiertelnymi ciosami rąk i nóg boksera spadły ogromne masy deszczu i gradu... Zgasły niepotrzebne ogniska. W upiornej scenerii błyskawic, grzmotów i dudnienia ogromnych ziaren gradu migotała im w oczach postać boksera. Powstał zamęt, jaki nigdy nie miał miejsca w najbardziej karnej armii w Europie. Jedynie pułkownik hrabia Moltke zebrał przy swoim namiocie pluton żołnierzy i wskazywał im jako cel migotliwą postać. Błyski, grzmoty, a także bijący w twarz deszcz i grad

utrudniały lub wręcz uniemożliwiały celowanie. Podobnie skupiali przy sobie żołnierzy inni przytomni oficerowie. Kule świsnęły ze wszystkich stron i często trafiły ogarniętych paniką grenadierów.

Czang Muhang z daleka widział biały namiot hrabiego Moltkego. Zwrócił także uwagę na starszego tęgawego mężczyznę, który z gołym pałaszem w ręku krzychał coś do żołnierzy, daremnie usiłując pokonać ryk żywiołów. W jego kierunku zmierzał konsekwentnie, nieustannie zmieniając pozycję, szybując w powietrzu oraz kryjąc się przed bagnetami i pałaszami żołnierzy... Czuł całym swym jestestwem, że pozyskał przychylność bogów opiekuńczych tej ziemi i oni uczynili go Nieśmiertelnym.

Pułkownik Moltke zachnął się na samą myśl, że ten jeden człowiek, kimkolwiek jest – bokserem czy zaklinaczem żywiołów – może być sprawcą jego osobistej klęski! Bokser był coraz bliżej – żołnierze nakładali drżącymi rękoma bagnety. Część mocniej zacisnęła dłonie na kolbach karabinów – przygotowali się do boju... Nie czekali długo – zza krzewów, umiejętnie przerzucając swe ciało w powietrzu, wpadł na nich człowiek. Precyzyjne, zadane ze straszliwą siłą ciosy kruszyły kości. Zmieszały się szeregi...

Czang wyłonił się przed zdumionym hrabią, który nie stracił zimnej krwi i w stronę boksera posypały się strzały z wielkiego rewolweru. Kule szarpały odzież i ciało – ryły bruzdy w mięśniach, lecz bokser ani drgnął. Patrzył dłuższą chwilę w wychodzące z orbit, przerażone oczy hrabiego. Następnie jednym uderzeniem złamał oficerski pałasz z dobrej stali Sollingena. Pułkownik poczuł, że braknie mu powietrza w płucach, a serce podchodzi do gardła. Chciał iść w stronę tej nadludzkiej postaci, lecz już nie zdołał – jego serce nie wytrzymało nadmiaru żołnierskich wrażeń tej pełnej grozy nocy.

Żołnierze, którzy spostrzegli, że strzały pułkownika oddane z odległości niemalże wyciągniętej ręki nie odniosły skutku, w skrajnym przerażeniu i panice rzucili się do ucieczki w różnych kierunkach. Inni biegli w ich stronę, pragnąc osaczyć samotnego wojownika Yi He Tuan. Żołnierze potracali się wzajemnie, klnąc i krzycząc niezrozumiale. Próżno oficerowie usiłowali zaprowadzić elementarny bodaj porządek.

Czang Muhang zakręcił rękoma dziwne koła i zwrócił się przeciwko biegnącym ku niemu żołnierzom. Niespodziewane, potężne poddmuchy wiatru osadziły ich niemal w miejscu. Wiatr o sile huraganu wyrwał młode drzewka, krzewy, namioty i rzucał to wszystko na oszalałych z przerażenia ludzi. Na tle jasnego nieba zobaczyli szybującego w ich stronę boksera...

Potem nastąpiła ciemność...

* * *

Bohaterowie ludu są Nieśmiertelni!

SUMMARY

IMMORTAL CHIANG MUHANG, THAT IS, ON THE WAR OF JUST BOXERS AGAINST OVERSEAS INVADERS AND THE BETRAYAL OF THE EMPRESS CI XI

The Authors in the form of poetic prose presented a historical event from the year 1900 describing the episode connected with the activities of Yi He Tuan movement and the uprising of boxers. The main hero of the story is Chiang Muhang called the Immortal, the leader of the boxers who stand out against the betrayal of the Empress Ci Xi and fight with the invaders. The title overseas devils are commanders of the German army. The action takes place in Shandong province. The Authors describe how Chiang Muhang, using supernatural powers, defeats the camp of German soldiers located in the forest.